

MARGINESY



Stefanie Zweig



**NOWY
POCZĄTEK
PRZY ALEI
ROTHSCHILDÓW**

Stefanie Zweig

**NOWY
POCZĄTEK
PRZY ALEI
ROTHSCHILDÓW**

Przełożyła Anna Kierejewska

WYDAWNICTWO MARGINESY

Mężczyźnie mojego serca,
Wolfgangowi Häfelemu, bez którego
wsparcia i miłości ta książka nigdy
nie zostałaby ukończona

Tylko tępi i naiwni nie wiedzą,
jakim ciężarem dla człowieka
jest dobra pamięć.

Neubeginn in der Rothschildallee

Copyright © 2011 by LangenMüller at F.A.
Herbig Verlagsbuchhandlung GmbH, München
All rights reserved.
www.herbig.net

Copyright © for the translation by Anna Kierejewska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2016

N I E D Z I E L A I N N A
N I Ż W S Z Y S T K I E

Wrzesień 1948

⊙

— Pierwsza niedziela, którą spędzamy w domu — powiedziała Betsy Sternberg. — Czy na tę okazję jest jakaś modlitwa, Fritz?

— Z pewnością — odpowiedział. — A może wydaje ci się, że po czterdziestu latach wędrówki przez pustynię i całym tym zamieszaniu wokół dzieci Izraela i złotego cielca Mojżesz bez słowa rzucił się na dzban miodu?

— Mojżesz przecież nigdy nie dotarł do ziemi obiecanej — przypomniała mu córka. — Pamiętam, że wytrąciło mnie to z równowagi.

— Zgadza się, Mojżeszowi dane było oglądać raj jedynie z daleka. Nas jednak Bóg do niego odprowadził — podsumowała Betsy. Dłonią wygładziła obrus w niebiesko-białą kratę, który Anna, jej ukochana pasierbica, uszyła ze ściereczek kuchennych i poszewek na okoliczność wprowadzenia się do dawnego mieszkania w ich domu. — Gdyby ktoś mi powiedział, że znów będę tu siedziała, rozmawiała z zięciem i Fanny o ziemi obiecanej, piła prawdziwą kawę i spoglądała przez okno na naszą starą wiśnię, nie uwierzyłabym w ani jedno słowo. Powiedziałabym, że Betsy Sternberg nie spogląda już przez żadne okna. Umarła podczas transportu do drugiego życia. Czy Orfeusz był równie zdezorientowany jak ja, gdy powrócił z zaświatów? I co powiedział Odyseusz, gdy po dwudziestu latach znów stanął przed Penelopą?

— Kto jadł z mojego talerzyka? — podsunęła Fanny. — Nie, nonsens, to mówiły przecież krasnoludki Królowny Śnieżki.

— Powiedział: jesteś bardzo grzeczny — podśmiewał się Fritz. — Tatuś przyniósł ci wielką kość cielęcą. Jeśli mąż obarczony nieczystym sumieniem może schylić się do psa, to jest to już połowa sukcesu. Zawsze zazdrościłem Odyseuszowi, że może darzyć swojego psa takim zaufaniem.

— Przecież nigdy nie mieliście własnego — zdziwiła się Betsy.

— Zgadza się. Mimo to wszystko mu opowiadałem, a on merdał ogonem przy najmniejszym kręctwie.

— Chciałabym mieć twoją fantazję.

— Ja również. Zawsze uważałem, że fantazja to najbezpieczniejsze schronienie. A jednak dziś, kiedy zobaczyłem się w lustrze podczas golenia, nie potrzebowałem fantazji. Wystarczyła dobra pamięć sięgająca tego, co wywoływało we mnie poruszenie w pierwszym życiu. Wiesz, wydawałem się sobie

niczym Rip van Winkle. To postać z opowiadania Amerykanina Washingtona Irvinga, rolnik o nieskomplikowanym usposobieniu i skłonności do kieliszka. W czasach brytyjskiej kolonizacji ucina sobie drzemkę w rodzinnej wiosce w górach i budzi się dopiero po dwudziestu latach. Jest wówczas obywatelem Stanów Zjednoczonych, ma przydługą siwą brodę i nie rozumie świata. Kłótniwa żona, która zamieniała jego życie w piekło, już nie żyje. Zniknęli też wszyscy ludzie i mnóstwo psów, które znał. Nieszczęsny głupiec wpada w zupełną panikę, a na domiar złego mówi: „Boże, pobłogosław króla”, więc wszyscy mieszkańcy wsi mają go za zdrajcę i zarzucają mu szpiegostwo.

— Przez długi czas miałam takie koszmary — westchnęła Fanny.

— I komu ty to mówisz! Kiedy schroniłem się w Holandii i nikt nie mógł wiedzieć, że jestem z Niemiec i mam żydowskie pochodzenie, wciąż bałem się, że zaaresztują mnie jako szpiega. Ileż to razy wyobrażałem sobie, że leżę z wysoką gorączką w szpitalu i majacząc, mówię po niemiecku, a pielęgniarki wzywają SS. Albo odmawiam hebrajską modlitwę. Jak znam siebie, to nie tę, co trzeba. Matka wciąż się złościła, że myliłem błogosławieństwo chleba z błogosławieństwem wina. Nawet jako osiemnastolatek. I to w najważniejsze święta.

Betsy pogłaskała Fritza po głowie. Był to łagodny, bezwiedny gest.

— Przepraszam — powiedziała, bo nie przywykła do tego, by okazywać zięciowi matczyną troskę i współczucie wyrażane mimowolnymi gestami. — Ja też wciąż mam wrażenie, że trafiłam w złe czasy. Dopiero co przez moment wydawało mi się, że muszę pokroić na kawałki biały chleb dla papugi ciotki Jettchen. Zawsze dostawała go w niedzielę, skrzeczała wtedy do skutku:

„chleb i czerwone wino”. Dzieci nie mogły nacieszyć uszu, a Johann Isidor za każdym razem groził: „To stworzenie wyląduje na patelni”. Cioteczkę to straszliwie oburzało. I tylko Vicky mogła ją pocieszyć. Była przecież pupilką Jettchen.

— Szkoda, że mnie przy tym nie było — powiedziała Fanny.
— Cudownie musiało być wówczas z czwórką dzieci.

— Z piątką, gdy pojawiła się Alice. Cóż, nigdy nie siedziała z Ottonem przy jednym stole. Najstarsze i najmłodsze z moich dzieci nigdy się nie zobaczyły. — Betsy otarła rękawem oczy. — Znow się przeziębiam — oznajmiła. — Wtedy zawsze łzawią mi oczy. Zachowujcie się tak, jakby mnie tu w ogóle nie było. Lepiej uważnie się rozglądajcie. Wiadomo przecież, że to, co dobre, nie trwa wiecznie. Zjadajcie z apetytem, zanim dobry Bóg zwyczajnie nas od gamoni, bo znow daliśmy się zwieść marzeniom.

— Kiedy? — zapytała Fanny. — Kiedy daliśmy się zwieść marzeniom?

— Cały czas dawaliśmy się im zwodzić, moje dziecko. Nieustannie. Aż w końcu zrobiło się za późno. „Nikt nas stąd nie wypędzi” — powiedział twój dziadek, gdy wprowadzaliśmy się do tego domu. To było dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku. Akurat w urodziny cesarza. Słońce świeciło promiennie, wszystkie drzewa były obsypane bielą, a niebo stalowobłękitne, i myślałam sobie, że życie nie może być piękniejsze. Otto nie miał jeszcze rodzeństwa, ale byłam już w ciąży z bliźniętami. Skończył cztery lata i z okazji wprowadzenia się do domu po raz pierwszy mógł włożyć swoje marynarskie ubranko. Pękał z dumy. Nawet po mieszkaniu biegał w czapce. Takiej z napisem „Gneisenau”. Mój Boże, dlaczego wspomnień nie mogę upchnąć do worka i zatopić go w Menie? Tylko sięść i płakać. I za chwilę to właśnie zrobię.

— Już nigdy nie damy się niczemu zwieść — uspokoiła babkę Fanny. Stuknęła łyżeczką o filiżankę. — Obiecuję. Już nigdy niczemu.

— To było podwójne zaprzeczenie, moje dziecko. W tym przypadku oznacza, że wciąż jeszcze jesteśmy gotowi, by dać się wszystkiemu zwieść. Na darmo łożono na twoją edukację, panienczko. Tak kiedyś mawiano. To dlatego, że wtedy za wykształcenie trzeba było jeszcze płacić, i to niemało. Czy wy już niczego się w szkole nie uczycie?

— Owszem, uczymy! Tego, że Bismarck był wybitnym człowiekiem, którego teraz ludzie zupełnie nie doceniają. Ale panią Bernau ledwo słyhać, kiedy nam to wyjaśnia. Dziwię się, że nie zasłania wtedy ust dłonią. Wyraźnie mówi, dopiero gdy wykłina dziewczęta, które noszą makijaż. Uważa, że dziewczynki z dobrego domu się nie malują, a już na pewno nie chodzą w jedwabnych pończochach.

— Już to przerabialiśmy. Naziści mówili, że niemieckie kobiety się nie malują. Swoją drogą to mało która się tego trzymała.

— Moja zniechęcona wychowawczyni po prostu nie potrafi zapomnieć tych pięknych, zamierzchłych czasów. Waltraud, jedna z czterech dziewcząt o tym imieniu w naszej klasie, opowiadała mi, że pani Bernau nawet wśród nazistów uchodziła za absolutną fanatyczkę. Nigdy nie przyszła do szkoły bez odznaki partyjnej. Nawet przebywając w schronie, nalegała, by witać się pozdrowieniem „Heil Hitler!”. I wystarczyło powiedzieć, że brak zadania domowego wynika z konieczności załatwienia czegoś dla BDM (1),

(1) BDM (Bund Deutscher Mädel — Związek Niemieckich Dziewcząt) — żeńska sekcja Hitlerjugend (przypisy nieoznaczone inaczej pochodzą od tłumaczki).

a wówczas ta najwierniejsza miłośniczka Hitlera puszczała to płazem. Dla doktor Ilsetrude Bernau bdm był ważniejszy niż kształcenie. Takie chodzą o niej opinie. Chociaż wydaje mi się, że madame już tego wszystkiego nie pamięta. Całkowicie przedstawiała się na tolerancję.

— Jak to się objawia? Twierdzi może, że Żydzi i cykliści to też ludzie?

— Aż tak daleko się nie zapędziła — zachichotała Fanny. — Ale wysoko ceni sobie *Chatę wuja Toma*, a w młodości chyba ubóstwiała Josephine Baker. Na każdej lekcji niemieckiego wręcz błaga nas, byśmy chodzili do teatru. W Börsensaal grają właśnie *Natana mędrca*. Jak powiedział Lessing, to, co teraz czujemy, jest nad wyraz aktualne. „Każdego z nas musi to zachęcić do okazywania człowieczeństwa”. Chlip! Chlip! *Heil!* — Fanny zaczęła naśladować nauczycielkę. — Z czystej przekory nie przyznałam się, że już dwa razy byłam w teatrze. A to przez Ottona Rouvela. Grał Natana w sposób, który mnie poruszył.

— Poza tym zakochałaś się w tym młodym templariuszu. Przyznaj, dziecko.

— Licho wie. Ale kiedy powiedział: „Wprawdzie mięsa dawno nie jadłem, ale cóż to szkodzi? Daktyle za to są dojrzałe” (2), cała sala aż się trzęsła. Naprawdę można pęknać ze śmiechu. Świetnie pamiętam, jak dostawaliśmy daktyle za kartki na mięso, a Hans i Anna zachowywali się tak, jakby całe życie czekali, by skosztować daktyla.

— Jeszcze bardziej dziwi mnie to, że znasz ten tekst na pamięć. Jak to możliwe? Wydawało mi się, że moja córka ma po dziurki w nosie wszystkiego, co wiąże się ze szkołą.

(2) Gotthold Ephraim Lessing, *Natan mędrzec*, przeł. Anastazy Kwiryn.

— Albo i wyżej. Ale *Natan* jest wyjątkiem. Nawet szkoła nie może mi go obrzydzić. Znasz przypowieść o pierścieniu (3)?

— Tak — odparł Fritz. — Słyszę wasze wołanie, lecz już nie mam wiary! (4)

Przeraził się, zauważywszy drżenie rąk. Przez chwilę, która zdawała mu się wiecznością, zaciskał powieki. Życie jednak nie miało litości i ożywiło wspomnienia. Matka Fanny marzyła o zagranju Rechy. Opowiedziała o tym Fritzowi podczas ich pierwszego *rendez-vous*. Siedzieli przy oknie w kawiarni Rumpelmayer i wspólnie postanowili, że będą chodzić do teatru Schumana, a latem w niedzielę do wiesbadeńskiego domu zdrojowego na babeczki ananasowe. Fritz zamówił ciastko francuskie z serem i różowe wino z Kaiserstuhl, a Victoria zachowywała się tak, jakby znała się na winach i z zamięłowaniem piekła ciasta. Widział jej burgundową sukienkę z głębokim dekoltem, z dużymi guzikami z masy perłowej. W klapie pobłyskiwała broszka w kształcie motyla o skrzydłach ozdobionych rubinami i szmaragdami. Fritz słyszał własne słowa: „Panienko Victorio, będzie panienka najpiękniejszą z córek Natana”.

— Coś ci się stało? — zapytała Betsy.

— A co mi się miało stać?

-
- (3) Pochodząca z *Natana mędrca* przypowieść o pierścieniu traktuje o ojcu, który miał podarować swój pierścień jednemu z trzech synów. Nie mógł się zdecydować, którego z nich kocha najbardziej, podarował więc pierścień każdemu z nich, ale tylko jeden klejnot był tym prawdziwym. Po śmierci ojca synowie rozstrzygali przed sądem, który z pierścieni jest oryginałem. Sędzia, nie mogąc tego orzec, skonkludował zatem, że ojciec kochał ich wszystkich równie mocno.
- (4) Johann Wolfgang Goethe, *Faust*, przeł. Emil Zegadłowicz.

— Ludziom, którzy odpowiadają pytaniem na pytanie, zazwyczaj coś jest. Szczególnie gdy w jednej chwili robią się tak bladi jak ty teraz.

— Fanny, wydaje mi się, że twoja babcia za dużo widzi.

— Dużo — odparła Fanny — ale nie za dużo.

Pomysłowy kalendarz, który starannie wykonała, a każdą datę opatrzyła obrazkiem, cytatem z ksiązek, przysłowiem lub mądrością ze Starego Testamentu, wskazywał dwudziesty szósty września. Na poprzedzający dzień wybrała cytat z Lessinga: „Nikogo zmusić nie podobna” (5). Podała ojcu kartkę wyrwaną z kalendarza.

— Napisał to specjalnie dla nas — powiedziała. — Zrozumiałam to już wtedy, gdy pierwszy raz to przeczytałam.

— *Nebbich* — westchnął Fritz. — Mistrz Lessing powinien był porozmawiać ze mną, zanim się zabrał do pisania *Natana*. Każdego zmusić podobna.

Słońce otuliło ogród zimowy owym jesiennożółtym światłem, które Betsy wspominała w piekle Theresienstadt. Wielkie okna w małym pomieszczeniu bez żadnego uszczerbku przetrwały bomby, które zniszczyły obydwie wyższe kondygnacje. Z pożogi ocalała też wiśnia rosnąca na podwórzu.

— Róża kwitnie także wtedy, gdy nikt nie patrzy — myślała na głos Betsy. — Drzewo nie dba o czasy, w których żyje. A na pewno nie to nasze.

Na murze porośniętym bluszczem, który oddzielał dom przy alei Rothschildów 9 od domów przy Martin-Luther-Strasse, siedziały kosi i sikorki. Gołębie obsiadły kominy, a te co bardziej nieuleknione — suszarki na pranie pod kuchennymi oknami. Wróble głośno ćwierkały.

— Johann Isidor powiedział, że ptaki śpiewają także dla Żydów. Słowa te padły jednego z ostatnich dni spędzonych w tym mieszkaniu. Mam go przed oczami, jak stoi w kuchni, wpatruje się w wiśnię i kręci głową.

— Co do wiśni... — zaczął Fritz. W jego uśmiechu nie było radości. — Założę się, że niejaki Theo Berghammer opowiada teraz naokoło, że straszna wiśnia z tego Żyda Feuereisena.

— Grunt — uznała Betsy — żeby kiedyś udało nam się przestać o nim myśleć. Nie dał się od nas wypędzić, kiedy było ciasto z wiśniami. Josephę zawsze doprowadzało to do pasji, mówiła mu, że najadać ma się w domu.

Theo Berghammer, który dorastał w domu przy alei Rothschildów 9, był jedynym przyjacielem Ottona Sternberga za czasów wielkiej iluzji, gdy wszystkim wydawało się, że wojnę można wygrać. W wieku osiemnastu lat Otto zginął na froncie, zaraz potem Theo doznał ciężkich obrażeń. Nadzieje, które wiązał z dobrobytem i szacunkiem, od 1933 roku pokładał w nazistach. I gorzko za to odpokutował. W sierpniu 1948 roku sędzia sądu krajowego doktor Friedrich Feuereisen, po twardych pertraktacjach z pewnym sędzią, który prawo interpretował w sposób nieprzynoszący chwały jego zawodowi, ostatecznie odzyskał dla swej teściowej Betsy Sternberg nie tylko mieszkanie na pierwszym piętrze, ale też dom przy alei Rothschildów 9. Pomimo wielu wniosków Thea i próby zakupu urzędnika prowadzącego sprawę kompletnie srebrnych sztucców do ryb na dwanaście osób, które w 1940 roku zdobył podczas licytacji zrabowanego żydowskiego dobytku, rodzina Berghammerów musiała opuścić mieszkanie. Było to właśnie mieszkanie na pierwszym piętrze, które Sternbergowie zajmowali przez trzydzieści osiem lat i z którego musieli się

(5) Gotthold Ephraim Lessing, *Natan mędrzec*, przeł. Anastazy Kwiryn.

wyprowadzić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Dwa dni później przydzielono je zasłużonemu członkowi partii, Theowi Berghammerowi.

Po klęsce Niemiec, którą traktował również jak swoją własną, Thea ostatecznie opuściło szczęście ludzi chciwych, wykorzystujących koniunkturę dla siebie. Mocno wierzył w to, że już nigdy nie spotka nikogo z rodziny Sternbergów. Swoją żonę, wystraszoną po wkroczeniu do kraju Amerykanów, zwykł uspokajać wciąż tą samą nadzieją: ci, którzy się nie pojawili, mogą być jedynie martwi. A Erwin, Clara i jej córka, które zwiały do Palestyny, są zbyt daleko od tych wydarzeń, by zajmować się sprawami domu i naszego mieszkania.

— Za rok w sierpniu zawekuję wiśnie. — Betsy sięgnęła wspomnieniami do lat, gdy zajmowała się domem. — Josepha zawsze powtarzała: trzeba to zrobić w połowie sierpnia albo dorwie się do nich ptactwo. Kiedyś Erwin zrobił dla niej nawet stracha na wróble w tyrolskim kapeluszu i z miotłą w ręce, ale ptaki zupełnie nic sobie z niego nie robiły. Josepha nie umiała wtedy opanować złości. Że też nie mogę sobie przypomnieć, po ile lasek cynamonu wkładała do słoików.

— Kto wie — rzucił Fritz — czy do tego czasu znów będzie można dostać cynamon w laskach. Nie mówiąc już o wekach czy gumkach do słoików. Na twoim miejscu postawiłbym raczej na rabarbar. Do niego nie potrzeba cynamonu. Zawsze smakuje tak samo paskudnie.

— Jesteś jak niewierny Tomasz — skarciła go Betsy. — Wszechmogący zsyła nam inne cuda niż gumowe uszczelki do weków. Ty oczywiście też miałeś w tym swój udział. I to jaki! Czy znasz mojego ukochanego zięcia? Jest niesamowicie zaradny i nikomu nie da pozbawić się odwagi.

— A już na pewno nie da się pozbawić dobrego nastroju, jeśli ktoś jest w stosunku do niego bezczelny — dodała od siebie Fanny. Poklepała ojca po ramieniu. — Wytrzymuje nawet ze swą nieznośną córką, nie wychodząc przy tym z siebie.

— Szkoda — ciągnęła Betsy — że jest tak potwornie skromny. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy, ile dobrego zrobił dla swojej teściowej. Bez ciebie, Fritz, nie udałooby mi się odzyskać nawet gwoździa, nie wspominając już o całym domu. Moim domu. Nie, naszym. Wszystko stało się w tak nieprawdopodobnie krótkim czasie, że każdego ranka muszę się uszczypnąć, zanim naprawdę uwierzę, że przeżyłam. Od ludzi, których po wyzwoleniu poznałam w żydowskim domu starców, słyszę zupełnie inne opowieści o tym, jak odzyskiwali to, co zrabowali im naziści. Starszy pan Grün, który przeżył trzy obozy koncentracyjne, a mimo to gdy pierwszy raz go zobaczyłam, myślał o przyszłości, teraz stał się małym szarym człowieczkiem o straszliwie smutnych oczach. Miał trzy sklepy we Frankfurcie, tak jak i my. A teraz ma do czynienia jedynie z durnymi listami z urzędów, a nie z ludźmi, którzy prowadzą jego sprawy.

— Poczekaj tylko, aż będę mógł otworzyć swoją kancelarię. To właśnie ci klienci, na których liczę i których chcę reprezentować. Czuję się odpowiedzialny za ludzi, którzy dzielą nasz los. Jako adwokat nie potrafiłbym już wykazać się wystarczająco dużym zainteresowaniem wobec złodziei jajek czy drobnych fałszerzy dokumentów. Nie wspominając o tych, którzy chcą się rozwieść. W mojej opinii rozwody zawsze były grzechem. Jako sędzia nie mógłbym tym ludziom w żaden sposób pomóc.

— Czy mógłbyś w drodze wyjątku nie zmieniać tematu, Fritz? Chciałabym móc choć raz na spokojnie podziękować ci za to, co dla nas wszystkich zrobiłeś. A ty na słowo „dziękuję” zawsze reagujesz tak, jakbyś najwyżej przyniósł węgiel z piwnicy.

— Za rzeczy oczywiste się nie dziękuje.

— Kto, na Boga, ci tak naopowiadał?

— Mój ojciec podczas wyjaśniania mi, czym u Żydów jest prawo zwyczajowe. Matkę strasznie to rozgniewało. „Od powiedzenia «dziękuję» jeszcze nikt nie umarł”, oznajmiła.

— Miała rację — przytaknęła Betsy. — Tylko co dziś jest jeszcze oczywiste? Z pewnością nie to, że siedzę z wami w naszej dawnej jadalni i zaglądam do ogrodu zimowego, ani to, że dałam się przekonać jakiejś wróżce, że nigdy nie opuszczałam tego miejsca. Serce Betsy Sternberg bije, wali i się raduje. A ona sama czuje się tak, jakby miała piętnaście lat, była piękna jak z obrazka i poznała właśnie księcia Arkadii. Czy to szczęście, czy kiepska pamięć? Albo może demencja starcza?

— Z pewnością nie w twoim przypadku — odparł Fritz.

— Nie wiem. Często mam się za starą, zdurniałą kobietę, która nie do końca już panuje nad swoim życiem. Czasami boję się, że zapomnę, na co czekam.

— To z kolei nie ma nic wspólnego z wiekiem, moja droga. Czy wydaje ci się, że ja zawsze wiem, kim jestem? Wiem tyle, że obecnie najbardziej marzę, by znów zobaczyć Erwina. Zawsze był dla mnie kimś więcej niż tylko szwagrem. Za sprawą Hitlera znaleźliśmy się zdecydowanie za krótko.

Ogród zimowy był ulubionym pomieszczeniem Betsy. W młodości przesiadywała tam na rekamierze i czytała *Bud-denbrooków* Tomasza Manna. Książka dopiero się wówczas ukazała i stanowiła przedmiot rozmów zarówno wśród przyjaciółek oszalałych na punkcie literatury, jak i podczas licznych wieczornych spotkań, tak ważnych dla ambitnych Sternbergów, którym marzył się awans społeczny. Przy niewielkim marmurowym stoliku pani domu popijała herbatę o pobudzającym zapachu

bergamoty, a w dni szczególnie pomyślne pozwalała sobie na babkę drożdżową z polewą czekoladową, specjalność kawiarni Goldschmidt z Ostendu. W ogrodzie zimowym Betsy sporządzała listy zakupów na duże przyjęcia, a co czwartek spisywała sprawunki potrzebne do przygotowania posiłków na szabas. Pewnego majowego dnia, pierwszej wiosny, którą Sternbergowie spędzali jako małżeństwo, po raz pierwszy usłyszała w podwórzu wilgę — wracała później co roku — a po południu Johann Isidor przyniósł jej kobaltową żorzetę na zwiewny kostium i powiedział, że może sobie kupić kapelusz do kompletu i nowe buty. Następnego ranka Betsy od razu pospieszyła do modystki. Do dziennika wpisała: „Zawiści bogów lękać się potrzeba! Szczęścia bez zmiany nigdy jeszcze nieba śmiertelnym doznać nie dały” (6).

Wiele lat później ze smutkiem przyglądała się drzewu karczukowca i poirytowana przysłuchiwała się bliźniętom grającym na fortepianie. Erwin i Clara, oboje muzykalni, ale zbyt leniwi, by ćwiczyć, przegnali z domu mnóstwo nauczycielek muzyki, a raz nawet stroiciela fortepianów. Temu ostatniemu pod górną nakrywą instrumentu włożyli tabliczkę: „Uwaga, grozi wybuchem dotknięty przez tchórzy!”

— Mam jeszcze przed oczami jego twarz purpurową z wściekłości — przypomniała sobie Betsy — i rozdziawione usta. Już nigdy nie przekroczył progu naszego domu. — Zbyt późno zorientowała się, że mówi na głos, i przestraszona rozejrzała dookoła, lecz po chwili zaczęła opowiadać dalej, jak gdyby podniosła głos z rozmysłem. — Obydwoje co dzień grali *Wiernego paladyna* i co dzień fałszowali. Musiałam się czasem powstrzymywać, żeby nie trzasnąć ich po głowie nutami. Ich ojciec wciąż powtarzał:

(6) Friedrich Schiller, *Pierścień Polikratesa*, przeł. Walenty Chłędowski.

„Matka Chopina musiała mieć anielską cierpliwość, że zносиła takie rzeczy”, a ja wciąż odpowiadałam: „Przecież Chopin nie miał siostry bliźniaczki”.

Pewnej jesiennej niedzieli, siedząc w ogrodzie zimowym, Johann Isidor w chwili nieuwagi, pomiędzy drugim a trzecim kieliszkiem koniaku, nazwał żonę Fritzi, a Betsy od razu zwietrzyła, że jej małżonek, przez wszystkich szanowany, zasadniczy i świadomy norm moralnych, ją zdradził. Dlatego też nie była nazbyt zaskoczona, gdy trzy lata później stanął przed nią, trzymając za rękę onieśmieloną dziewczynkę, i przyznał się do małżeńskiego występku. Ów występek nosił imię Anna, miał osiem lat i był błąd jak ściana. Mała, której dopiero co umarła matka, trzymała w ręku dokładnie taką samą lalkę, jaką ojciec przywiózł jej rówieśniczce Victorii z Paryża.

— To było w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku — powiedziała Betsy. Złapała się za głowę. — Mój Boże, znów to samo. Znów mówiłam na głos.

— Masz do tego pełne prawo, Betsy. Możesz mówić na głos i krzyczeć, rozbijać okna i malować ściany na różowo. Jeśli dostaniesz farbę. To twój dom. Co się wydarzyło w tym tysiąc dziewięćset siedemnastym roku?

— Och, nic. Nic, o czym byście nie wiedzieli. To mieszkanie skłania do uciekania myślami w przeszłość. Mam nadzieję, że to się zmieni. Nie nauczyłam się żyć wśród duchów.

— Tak już będzie — osądził Fritz. — Musimy się nauczyć przed tym nie wzbraniać. Człowiek, który wzbrania się przed wspomnieniami, już jest martwy.

— Dlatego też wzbraniam się tylko czasami. Wciąż mam przed oczami taki ogród zimowy, jakim był kiedyś. Każdą przekłętą doniczkę.

Na niskich mahoniowych stołkach na toczonych nóżkach stały wielkie porcelanowe donice z kunsztownymi złoceniami. Kaktusy urosły wysokie, egzotyczne kwiaty co roku rozkwitały radosnymi barwami. Uważaj, Josepho, nie otwieraj okien tak szeroko. Kamelie źle znoszą przeciągi. Hibiskus też potrzebuje stałej temperatury. I niezbyt zimnej wody. Pani Meyerbeer zzielenieje z zazdrości, gdy zobaczy nasze passiflory. „Ona rozpieszcza kwiaty bardziej niż własne dzieci, łaskawa pani”. Kwiaty przecież się nie sprzeciwiają, Josepho. Dziękują za miłość i opiekę, nie wiercą pytaniami dziury w brzuchu, nie doprowadzają matki na skraj obłądzenia, nie mają koszmarów i nie chce im się pić w środku nocy. Już Goethe, który miał tylko jedno dziecko i najpewniej ani razu pieluchy w ręce, był miłośnikiem kwiatów. Nazywał jej pięknymi słowami natury.

— Wydaje mi się — rzekł Fritz — że w tym miejscu stało drzewko pomarańczowe, które dawało owoce. Byłem pod ogromnym wrażeniem podczas pierwszej wizyty. Moja matka absolutnie nie miała ręki do kwiatów. Nigdy nie udało jej się wyhodować nic poza fiołkami i prymulkami. Te ostatnie, zgodnie ze swoją nazwą, więdły najpóźniej po czterech dniach.

— Róże rosnące w różowych doniczkach przesadzaliśmy na wiosnę do ogrodu. Vicky zawsze zwracała uwagę na to, by jej róży przypadło najlepsze miejsce w ogrodzie. Wszystkie moje dzieci miały wyostrzony zmysł estetyczny. Johannowi Isidorowi się to nie podobało. Jego obawy dotyczyły przede wszystkim Erwina, uważał, że chłopak zrobi się przez to zbyt niezgułowaty. Tak też się stało.

— Gdyby nie Erwin — zaczął Fritz — Clara i Claudette nie wy dostałby się w porę z Niemiec. Do dziś chylę przed nim czoła, gdy myślę o tym, jak energicznie mój szwagier zorganizował

wyjazd do kraju, o którym nie wiedział nic i do którego wyjechać udawało się tak niewielu.

W siódmej klasie Erwin namalował drzewo miniaturowej pomarańczy stojące na kwietniku obłożonym jaskrawoczerwoną marmurową płytą, a obrazek opatrzył podpisem „moje drzewo życia”. Nauczyciel sztuki z gimnazjum Cesarza Fryderyka powiesił obrazek na szkolnym korytarzu, mimo że nie lubił Żydów, a już zwłaszcza przemądrzałego, wygadanego „nicponia Sternberga”.

Ulubienicą Victorii była rosnąca na balkonie serduszka okazała.

„Mamo, czy kwiaty muszą umierać?” Wszystko, co żyje, musi umrzeć, Victorio. „Ale ja wcale nie chcę umrzeć. Nigdy! Nigdy! Nigdy!”

Najpiękniejsza z córek Betsy, buntowniczką, która pragnęła rzeczy niemożliwych, nie dożyła nawet trzydziestu trzech lat. W Theresienstadt mordercy wepchnęli ją i jej ośmioletniego syna do pociągu śmierci do Auschwitz. Nie puszczaj ręki Sala, Vicky!

Czy ocalała Fanny kiedykolwiek odważyłaby się zapytać o swą matkę, czy potrafiłaby kiedykolwiek opowiadać o swoim bracie, nie mając na twarzy wypisanego pytania: „Dlaczego on, a nie ja?”

— O czym myślisz, babciu? Wyglądasz, jakbyś była gdzieś bardzo daleko.

— Nie muszę się zamyślać, by być daleko stąd. W moim wieku wystarcza zamknąć na chwilę oczy i już człowiek pograża się w zadumie. Wybacz, dziecko. Nie słuchaj, co mówię. Powinnaś częściej przebywać wśród młodych ludzi.

— Po co? — zapytała Fanny. — Ci, którzy są dzisiaj młodzi, wczoraj stali po zupełnie innej stronie. Czują to, czy tego chcą

czy nie. Również w przypadku tych przyjaznych ludzi. Zwłaszcza w ich przypadku.

W ogrodzie zimowym nie kwitły już żadne kwiaty. Na szerokim parapacie stały dwie czerwone wgniecione puszki z wykaliografowanym białym napisem *Campbell's Tomato Soup*. W jednej z nich rósł szczypiorek, w drugiej pietruszka. Zioła zmarniały, odkąd zostały zabrane z mieszkania Anny.

— Być może jednak zdecydują się pozostać wśród żywych — powiedziała Betsy.

— Grunt, że my się zdecydowaliśmy — podsumował Fritz.

Betsy pomyślała o trójce dzieci przebywających za granicą — o Clarze, Erwinie i Alice. Odkąd znów dane jej było zamieszkać przy alei Rothschildów, z głowy nie wychodziła jej przede wszystkim Claudette, córka Clary. Ku zdumieniu wszystkich krewnych i ku niezrozumieniu przyjaciół i znajomych, którzy przecież wiedzieli, co spotkało siedemnastoletnią Clarę, Claudette, urodzona w 1918 roku jako nieślubne dziecko, zajęła szczególne miejsce w sercu dziadków. Jej ojcem był Theo Berghammer, politycznie napiętowany i dopiero co wyrzucony z mieszkania na rzecz swej niegdysiejszej gospodyni. Clara, której marzenia o studiach, zawodzie i emancypacji kobiet przysły niczym bańka mydlana, nigdy nie przyznała się do związku z Theem. Żyła razem z córeczką w dwupokojowym mieszkaniu na czwartym piętrze, wspierana finansowo przez rodziców i niepoddawana przez nich moralnym osądom, a przez brata bliźniaka uwielbiana tak samo jak za czasów dzieciństwa. Claudette spędzała więcej czasu u dziadków niż u matki. Miała bujną wyobraźnię, była delikatna i przymilna, mimo wesołości cechowała ją jednak nieśmiałość i podatność na zranienie. Gdy emigrowała do Palestyny, miała dziewiętnaście lat, była pięknym podlotkiem o talii osy, długich nogach

i czarujących oczach. Claudette, czego sobie życzysz na urodziny? „Żeby mój pies potrafił mówić” — odparła. A o czym będziesz marzyć, jak dorosniesz? „O dwóch psach, które potrafią mówić”.

Dla Betsy jej pierwsza wnuczka, Claudetka, pozostała tą, która ubóstwiała swego dziadka i nazywała go „dziadziem-misiem”. W obdarzonym duszą artysty wuju Erwinie dziewczynka wywoływała ojcowskie uczucia i poczucie odpowiedzialności. Johannowi Isidorowi wnuczka była bliższa niż którakolwiek z córek. Spełniał każde jej życzenie, a ze szczególnym upodobaniem te, których spełnienia odmawiała jej matka. Po raz ostatni widział Claudetkę na frankfurckim Dworcu Głównym. Stała w oknie pociągu do Genui, a oczy miała czerwone od łez. Tego dnia z nieugiętego przedsiębiorcy Sternberga, który nie ulegając strachowi, zniósł wszystkie szykany nazistów, Johann Isidor stał się złamanym mężczyzną.

Nie wolno nam tracić nadziei, Johannie Isidorze. Może pewnego dnia wrócą. Cała trójka. „Być może, ale nie do mnie. Bóg jeszcze nigdy nie uchował przy życiu starego, schorowanego Żyda, by ten mógł znów zobaczyć swoje wnuki”.

Pomiędzy puszkami po zupie Betsy postawiła figurkę z hebanu — afrykańską piękność w obszernej czerwonej spódnicy i zwisających kolczykach z malutkich kolorowych perełek. Na głowie młoda kobieta trzymała kosz z bananami, pomarańczami i pobłyskującymi na fioletowo winogronami. Alice wysłała matce tę nietuzinkową figurkę rok wcześniej z Południowej Afryki na siedemdziesiąte piąte urodziny. Za każdym razem, gdy Betsy spoglądała na symbolizującą miłość Afrykankę z Kapsztadu, trawiły ją tęsknota i zniecierpliwienie. Jedenaście lat minęło od momentu, w którym stojąc w hamburskim porcie, Betsy zawołała do swojego najmłodszego dziecka: „Żegnaj

na zawsze”. Kiedy Alice wyjeżdżała do Afryki, miała dwadzieścia dwa lata i nie pierwszy raz w życiu opuszczała dom. Dopóki jej rodziców i siostry z Salem nie deportowano z Frankfurtu i nie przecięto nici łączącej ich z ojczyzną, co tydzień pisała długie, emanujące tęsknotą listy.

Jeszcze we Frankfurcie Alice poznała Leona Zuckermana, poważnego, ambitnego i pobożnego młodego mężczyznę. Początkowo co sobotę chodziła z jego powodu do synagogi, a następnie, pomimo zastrzeżeń rodziców, wyjechała za nim do Afryki. W dzień ślubu pan młody miał nierówno wytarte obcasy, a panna młoda pachniała ostrym szarym mydłem, którym wytworni ludzie nie traktowali nawet bielizny. Rabin udzielający im ślubu podarował nowożeńcom pieniądze, by pierwszą wspólną noc mogli spędzić w hotelu, i życzył im małżeństwa pobłogosławionego gromadką potomstwa. Dziewięć i pół miesiąca później na świat przyszedł mały David. Jego ojciec zarabiał wówczas wystarczająco dużo, by zapłacić mohelowi za obrzezanie. Leon nie zbacał choćby na krok ze ścieżki pobożności wytyczonej mu przez ojca, zarówno w czasie dobrej, jak i złej passy. Niestraszna mu była żadna praca, przyjmował każde wyzwanie i nigdy nie tracił ducha. Chciał zostać pediatrą w Niemczech. Dziesięć lat po tym jak postawił stopę na afrykańskiej ziemi został menedżerem w jednym z najsłynniejszych hoteli w Kapsztadzie, menedżerem bardzo majątnym, bardzo zadowolonym i nieustająco świadomym boskich błogosławieństw, które przypadły mu w udziale. Był wspaniałym, zakochanym w żonie mężem i ojcem równie dumnym z trzech synów i dwóch córek, jak w dawnej ojczyźnie jego pobożny ojciec dumny był ze swojej gromadki dzieci.

Pomimo długiej podróży statkiem, olbrzymich wydatków i osłabienia gospodarczego zniszczonych powojennych Niemiec

Alice i Leon razem ze wszystkimi dziećmi chcieli przybyć na siedemdziesiąte piąte urodziny Betsy. Alice jednak zaszła w piątą ciążę tuż przed zakupem biletów na rejs. Znow zaczęła pisać długie listy, przesycone tęsknotą za domem. Jej mąż nigdy nie omieszkiwał osobiście pozdrowić teściowej, której nigdy nie poznał. Nazywał ją *mother Betsy* (jego matka oraz najmłodsza siostra wraz z trójką dzieci zostali zamordowani w Łodzi). Synowie — David, Aby i Rafael — zawsze pamiętali, by namalować nieznaną *granny* obrazek i mnóstwo krzyżyków. Każdy krzyżyk oznaczał pocałunek. W domu Zuckermanów znajdowało się tylko jedno zdjęcie babki od strony matki — położyła fotografia z roku 1917. Betsy trzymała na nim małą, dwuletnią wówczas Alice na rękach.

Musimy to wyczekiwane z takim utęsknieniem ponowne spotkanie odłożyć w czasie, dopóki Vicky nie wyrośnie z pieluch — napisała Alice nie tak dawno temu, w liście z okazji jednego z ważnych żydowskich świąt. — A nasza księżniczka niestety strasznie się z tym ociąga. Bardziej niż pozostała czwórka razem wzięta. Zagroziłam jej, że jeśli mnie nie posłucha, to zostawię ją samą w domu pod opieką psa i niani. Vicky tylko w to graj. Niewzruszona przeżuwała ucho naszego obdarzonego anielską cierpliwością spaniela, ale szkoda, że nie słyszałaś zawodzenia jej braci, kiedy to powiedziałam. Wszyscy trzej ubóstwiają młodszą siostrę, a i mała Rachel zaczyna we wszystkim małej ustępować. Jak ty ze mną wytrzymałaś, mamo? Przecież ja też byłam beniaminkiem. Wstrętnym człowiekiem, jeśli dobrze pamiętam. Mam nadzieję, że moje córki nie będą tak zarozumiałe, leniwe i samolubne jak ja kiedyś. Spróbuj jednak sama wychować dzieci w kraju, w którym można zatrudnić tyle służby,

że każde dziecko zachowuje się jak największy przemądrzalec. Niedawno udało mi się w ostatnim momencie postawić Rachel do pionu za pomocą porządnego klapsa. Dwuletnia *miss Zuckerman* krzykiem dała do zrozumienia czarnoskórej niani, żeby podniosła jej piłkę z podłogi. I to jak donośnie! Zrobiło mi się naprawdę nieprzyjemnie.

Betsy myślami towarzyszyła jeszcze energicznej wnuczce wykazującej zapędy dyktatorskie, a z kieszeni fartucha wyciągała już dwa ugotowane jajka.

— Biedna Alice — powiedziała. — Ja też miałam pięcioro dzieci, ale urodzonych w rozsądnych odstępach czasu.

— Nie miałaś ortodoksyjnego męża — odparł Fritz.

— Mam nadzieję, że jajka ugotowały się na miękko. Nasze nowe eleganckie kieliszki do jajek sobie na to zasłużyły. Już dawno nie gotowałam jajek na miękko. Od tamtej pory — powiedziała Betsy.

— Usiądź w końcu, babciu. Nie mogę patrzeć, jak tak koło nas biegasz i nam dogadzasz. Przyniosę kawę i wszystko, czego brakuje, również. Pójdę nawet na plac Hauptwache lub do parku Huth, jeśli to konieczne. Hans przegoniłby mnie i Sophie z domu, gdybyśmy nie wstawały od stołu i całą pracę zrzuciły na Annę. Wciąż powtarza, że praca nakarmi, a lenistwo zagłodzi. Wzięłam to sobie do serca na całe życie. Poza tym pomyślałam, że będę pierwszą osobą, która będzie nalewać kawę z nowego dzbanka.

Fanny przytknęła do piersi biały dzbanek na sześć osób.

— Nigdy jeszcze nie miałam w rękach tak eleganckiego dzbanka, a ten otaczają jeszcze filiżanki, duże i małe talerze, miseczki, półmiski i kieliszki do jajek. To wszystko jest pewnie tylko marzeniem, podłą szatańską sztuczką.

„Z dziećmi powróci nadzieja”, mówi Betsy Sternberg, kiedy we wrześniu 1948 roku wraca do starego mieszkania przy alei Rothschildów.

Szkody po bombardowaniach zostają krok po kroku usunięte, drzewo wiśni w ogrodzie wciąż stoi, ptaki ćwierkają. Fritz otwiera nową kancelarię, a Erwin dostaje pracę w Domu Amerykańskim. Odnajduje się nawet ich była gospodyni. Pewnego dnia w drzwiach staje Alice, najmłodsza córka, a wraz z nią jej rodzina. Ostatnie lata spędzili w Południowej Afryce, gdzie oprócz apartheidu odzywały się co jakiś czas antysemickie resentymy. Mimo wszystko udało im się zdobyć niewielką fortunę.

Wojna nie minęła jednak bez śladu. Dla tych, którzy przeżyli, życie nie będzie już takie samo. Przyszłość, bezpieczeństwo — to słowa bez pokrycia. Niemniej wierzą w nowy początek.

Czwarty, ostatni tom sagi rodziny Sternbergów.

Cena: 34,90 zł

www.marginesy.com.pl

